

Niewiarygodnie mocna rzecz!

PETER JAMES

TONY PARSONS

RZEŹNIK

DETEKTYW
MAX WOLFE
#2

KOMU ŻYCZYSZ ŚMIERCI?

PROLOG

Noc sylwestrowa

Chłopiec obudził się gwałtownie, wyrwany ze snu krzykiem ojca.

Gdzieś w ciemnościach, za drzwiami sypialni rodziców, ojciec krzyczał tak, jakby nagle cały jego świat legł w gruzach.

W tym krzyku było przerażenie, wściekłość i ból. Chłopiec, jeszcze na wpół śpiący, wyskoczył z łóżka i odrobinę uchylił drzwi swojego pokoju, by spojrzeć w głąb korytarza, na zamknięte drzwi sypialni, za którymi zapadła teraz głucha cisza.

– Tato?

Wpatrywał się w ciemność i wyęczał słuch, słyszał jednak tylko własny nierówny oddech i pijackie głosy dobiegające z ulic miasta, świętującego śmierć kolejnego roku.

Za domem rozbrzmiał głęboki, niski dźwięk dzwonu wiszącego w ogrodzie, który zdawał się zwiastować koniec wszechrzeczy.

W tym samym momencie za drzwiami sypialni rozległ się krzyk matki.

Gdy wreszcie ucichła, ojciec zaczął przeraźliwie szlochać, jakby pękło mu serce.

Szok i przerażenie ścisnęły chłopca za gardło, odebrały mu dech.

Jego miły, spokojny ojciec, zawsze uśmiechnięty i skory do żartów, ojciec, który nigdy nie podnosił głosu, nie mówiąc już o ręce, płakał teraz tak, jakby odebrano mu wszystko, co kochał.

Potem chłopak usłyszał jakiś nieznany mu głos.

Natarczywy.

Nieludzki.

Pełen wściekłości.

– Nie będę więcej powtarzał – mówił. – Chcę, żebyś na to patrzył.

Później nastąpiła seria trudnych do nazwania dźwięków.

Głuche uderzenia przypominające rąbanie drewna. Łup... łup... łup... Bolesnym, rozdzierającym jękom płynącym z sypialni towarzyszyły pijackie wrzaski imprezowiczów z innego świata.

Jedne i drugie wydawały się nierealne.

Chłopiec oparł się o drzwi. Dyszał ciężko, a po jego twarzy płynęły strumienie łez.

Na parterze szczekał pies, i ten znajomy dźwięk, nieoczekiwany sygnał z dobrze znanego mu świata, pobudził chłopca do działania.

Wymknął się ze swojego pokoju. Serce waliło mu mocno, gdy na miękkich nogach, zlany potem, przechodził na drugą stronę korytarza, do sypialni siostry.

Kiedy wszedł do środka, dziewczyna siedziała na łóżku, ubrana na zabawę sylwestrową i błada jak ściana. Drżącą dłońią sięgnęła po telefon i nacisnęła po raz pierwszy numer dziewięć.

Oboje podnieśli wzrok, gdy zza ściany dobiegły odgłosy gwałtownej szamotaniny. Niezrozumiałe, niepojęte dźwięki. Zacięte, bezpardonowe zmagania, głuche postękiwania i jęki, głuchy huk ciała uderzającego o ściany i podłogę.

Odgłosy walki na śmierć i życie.

Chłopiec zobaczył, jak siostra po raz drugi wciska dziewiątkę.

Zamknął oczy, gdy zaczęło mu się kręcić w głowie.

Pomyślał, że to się zaraz skończy. Obudzi się, a koszmar zniknie. Jednak gdy otworzył oczy, wszystko stało się jeszcze bardziej rzeczywiste.

Siostra drżącą dłonią po raz trzeci i ostatni wybrała cyfrę dziewięć.

Pies szczekał jak opętany.

Potem na korytarzu rozległy się ciężkie kroki kogoś, kto wcale nie próbował kryć swojej obecności.

Szedł teraz po nich.

– Drzwi! – syknęła siostra, a on jednym szybkim ruchem sięgnął do zamka i przekręcił klucz.

Później odsunął się o krok, wpatrzony w zamknięte drzwi.

Ktoś do nich pukał.

Delikatnie, niemal figlarnie, stuknął palcem wskazującym.

Chłopiec spojrzał na siostrę.

Drzwi przygnęły mocniej do futryny, jakby ktoś naparł na nie z zewnątrz ramieniem. Potem rozległ się pierwszy trzask, drewno pękało i skrzypiało pod potężnymi kopniakami napastnika.

– Pomoc w nagłych wypadkach, do jakich służb mam przekierować połączenie?

– Proszę – powiedziała dziewczyna. – Potrzebujemy pomocy.

Chłopiec dopadł okna i je otworzył. Do pokoju wdarła się fala mroźnego powietrza, a wraz z nią odgłosy zabawy, odległa muzyka, śmiechy i krzyki wypełniające ostatnie minuty starego roku.

Obejrzał się za siebie, gdy środkowa część drzwi pękła i wpadła do środka. W otworze majaczyła ciemna postać, sięgała do klucza, który został w zamku.

Nie przypominała człowieka.

Wyglądała jak kształt utkany z gęstej ciemności. Gdy postać

weszła do pokoju, chłopiec poczuł jej zapach, odrażający odór potu, krwi i seksu, a także charakterystyczną przemysłową woń starych samochodów, zepsutych silników, oleju i smaru.

W pokoju rozbrzmiewał głos dochodzący z telefonu dziewczyny.

– Halo? Do kogo mam przekierować połączenie? Halo?

Chłopiec runął w dół, przez ułamek sekundy mknął przez lodowate powietrze, a potem uderzył ciężko o gruntowy podjazd i jęknął boleśnie.

Podniósł wzrok na okno na pierwszym piętrze.

Siostra siedziała okrakiem na parapecie, z jedną nogą na zewnątrz, a drugą wciąż w pokoju.

Napastnik musiał złapać ją za szyję, bo próbowała łapczywie chwycić powietrze, dusiła się. Tak, teraz chłopiec widział to wyraźnie, grube palce okręcały się na łańcuszku i ścisnęły go, podobnie jak ścisną się obroź psa.

Mroczny oprawca próbował ją zadusić.

Potem łańcuszek prawdopodobnie pękł, bo dziewczyna zsunęła się z parapetu i opadała bokiem na dół przez sekundę, która wydawała się całą wiecznością. Chłopiec odsunął się o krok, gdy siostra uderzyła głucho o ziemię.

Pomógł jej się podnieść i przejść na ulicę. Utykała ciężko, bo coś jej się stało w kolano.

Mieszkali na zamkniętym osiedlu, w najwyższej części miasta, w jednym z sześciu dużych domów ukrytych za bramą z kutego żelaza i wysokim ceglany murem, niemal niewidocznie zwieńczonym drutem kolczastym.

U ich stóp rozciągał się cały Londyn.

Mogli się tutaj czuć jak na szczycie świata.

Chłopiec zostawił siostrę na środku ulicy, gdzie rozcierała zakrwawione kolana, i pobiegł do najbliższego domu po drugiej stronie jezdni. Naciskał na guzik dzwonka, wzywał pomocy i

krzyczał o morderstwie.

Ale okna domu były ciemne.

Wtedy zobaczył, że większość innych domów w tej ekskluzywnej dzielnicy również jest pogrążona w ciemnościach. Tylko w ostatnim, na samym końcu ulicy, paliło się światło, a z wnętrza dobiegały ludzkie głosy. Chłopiec natychmiast tam pobiegł i zapukał do drzwi.

Jednak muzyka była zbyt głośna, a imprezowicze przygotowywali się już do północy.

Wysłuchał się uważniej w gwar podpitych głosów mówiących różnymi językami.

Polski. Tagalski. Hiszpański. Włoski. Pendżabski. I łamana angielszczyzna.

Właściciele wyjechali, a służba urządziła sobie przyjęcie.

I nikt go nie słyszał.

Potem podeszła do niego siostra. Wciąż mocno utykała, opierając cały ciężar ciała na jednej nodze.

Oboje spojrzeli w górę, gdy na niebie eksplodowały fajerwerki. Ludzie w oddali wznosili radosne okrzyki, nagle znacznie bardziej pijani i rozradowani. Potem spojrzeli z powrotem na swój dom.

Gdzieś w głębi budynku rozległ się płacz małego dziecka.

Chłopiec zaklął.

– Nie możemy go zostawić – powiedziała siostra. – Czujesz?

W powietrzu unosił się zapach spalenizny i prochu strzelniczego.

– To fajerwerki – stwierdził chłopiec.

Siostra pokręciła głową.

– Podpalił nasz dom.

Teraz i on to zobaczył.

Z okna na parterze wypłynęła smuga gęstego czarnego dymu.

– Idź – powiedziała dziewczyna. – Sprowadź pomoc. Ja

zajmę się małym.

Otarł twarz i przełknął ciężko ślinę, gdy siostra ruszyła nierównym krokiem w stronę płonącego domu. Dym był coraz gęstszy, głosy rozbawionych ludzi przybrały na sile, a chłopiec odkrył nagle, że nie może się ruszać.

– DZIESIEĆ!

Siostra odwróciła się na moment i spojrzała na niego, jej twarz lśniła blado w blasku księżyca.

– DZIEWIĘĆ!

Obserwował z daleka, jak wchodzi na podjazd i znika za rogiem domu. W tym momencie zrozumiał, że nie zobaczy jej już więcej.

– OSIEM!

Zadrżał z zimna i strachu. I spróbował zebrać myśli.

– SIEDEM!

Wciąż słyszał odgłosy zabawy dobiegające z domu wypełnionego światłem i śmiechem, teraz wydawały się jednak bardzo odległe, oddzielone od wszystkiego, co rozumiał, od wszystkiego, co miało jakikolwiek sens.

– SZEŚĆ!

Krzyknął przeraźliwie, ogarnięty paniką i frustracją.

– PIĘĆ!

Nikt go nie słyszał. Nikt się nim nie interesował. Był zupełnie sam.

– CZTERY!

Z najwyższego wzgórza Londynu widział barwne rozbłyśki eksplodujące nad miastem. Widok był piękny, jakby jakiś nieostrożny bóg rozsypał przypadkiem na niebie zawartość szkatułki z klejnotami.

Pomyślał, że może zrobić coś innego. Wyjdzie za tę żelazną bramę, która miała ich chronić przed nikczemnikami i biedakami, zbiegnie w dół wzgórza i znajdzie pomoc. To

właśnie robi. I ten koszmar wreszcie się skończy.

– TRZY!

Pies znów szczekał, dym był coraz gęstszy. Chłopiec nie widział siostry. Losy rodziny zależały teraz od niego.

– DWA!

Ruszył biegiem w stronę bramy.

– JEDEN!

Gdy nastąpiła pierwsza sekunda nowego roku, a niebo eksplodowało kolorami, w chłopca wjechał od tyłu samochód, uderzając go z impetem w nogi.

– SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU!

Samochód jechał bardzo szybko, chłopiec poleciał najpierw na maskę, a potem spadł na ziemię. Tylne koła auta przetoczyły się po jego nogach, zamieniając je w krwawą miazgę zdruzgotanych kości i ciała.

Gdzieś w pobliżu ludzie wznosili radosne okrzyki.

Chłopiec leżał na brzuchu i patrzył na nocne niebo, które teraz było jaśniejsze niż za dnia, skrzyło się feerią barw, żółtości, czerwienie, zieleni i biel eksplodowały pośród gwiazd, a potem opadały ku ziemi. Przyjemnie było tak leżeć i patrzeć na niebo, ale w końcu ból przedarł się do jego świadomości, ból tak straszliwy, że przyprawiał go o wymioty. Zrozumiał, co stało się z jego nogami, choć nie pomagało mu to znosić straszliwych katuszy.

Patrzył na fajerwerki rozpalające niebo nad miastem, ale nie widział ich, nie był teraz w stanie myśleć o niczym oprócz bólu. Zwymiotował gęstą krwią, w momencie gdy pochyliła się nad nim jakaś ciemna postać.

– Proszę – wyszeptał chłopiec. – Pomóż mi.

Ciemna postać podniosła go z ziemi.

Silnymi rękami. Delikatnie.

Chłopiec nie wiedział, czy tak właśnie należało zrobić. Nie

wiedział, czy powinno się go ruszać. Może lepiej byłoby go zostawić w tej pozycji. Ale przepełniała go wdzięczność.

Dopóki nie poczuł tego samego odrażającego zapachu potu i starego smaru, woni człowieka i maszyn.

Dopóki nie zobaczył, że dłonie, które podniosły go z ziemi, oblepione są krwią jego rodziny.

Niebo nad Londynem zamieniło się w jedną wielką paletę barw.

Kiedy jednak człowiek o zakrwawionych rękach niósł go w stronę domu, chłopiec z ochotą poddał się ciemności. Nie widział, jak fajerwerki eksplodują światłem, a potem gasną, ustępując czerni nieba.

1

Pierwszy dzień nowego roku był słoneczny i mroźny. W błogą ciszę wdarł się nagle huk wystrzału z pobliskiego bloku mieszkalnego.

Rzuciłem się na ziemię za najbliższym samochodem. Drobiny żwiru wbijały się boleśnie w skórę moich dłoni, twarz okryła się warstewką potu, który nie miał nic wspólnego z pogodą.

Każdy strzał jest owocem gniewu. Ten był pełen żądzы mordu. Rozdarł bezchmurne niebo i wypełnił mnie zwierzęcym strachem. Przez dłuższą chwilę leżałem bez ruchu, próbując odzyskać oddech. Potem podniosłem się z kolan i przywarłem mocno plecami do niebiesko-żółtego uzbrojonego radiowozu typu ARV. Serce waliło mi jak młot, ale mogłem już normalnie oddychać.

Rozejrzałem się dokoła. Policjanci z jednostki specjalnej SCO19 stali już na pozycjach, wpatrywali się w okna bloku spod czarnych hełmów PASGT, w dłoniach okrytych czarnymi rękawicami trzymali karabinki szturmowe Heckler & Koch. Tu i ówdzie stało kilku zwykłych umundurowanych policjantów i kilku detektywów w cywilu, takich jak ja. Wszyscy chowali się za ARV-ami i zielono-żółtymi szybkimi radiowozami typu RRV, wszyscy też trzymali w dłoniach służbowe glocki kalibru 9

milimetrów.

Kobieta stojąca kilka kroków dalej zakłęła głośno. Była drobna, miała blond włosy i dobiegała czterdziestki. Młoda, ale już nie dzieciak. Komisarz Pat Whitestone. Moja szefowa. Włożyła dziś sweter z reniferem. Prezent bożonarodzeniowy. Nikt z własnej woli nie ubiera się tak do pracy. Pomyślałem, że to pewnie od jej syna. Taki dziecięcy żart. Podsunęła okulary na nosie.

– Ranny policjant! – krzyknęła. – Postrzał w brzuch!

Wyjrzałem zza samochodu i zobaczyłem umundurowaną policjantkę leżącą na plecach na środku ulicy. Trzymała się za brzuch i wzywała pomocy. Krzyczała prosto w błękitne, bezchmurne niebo.

– Boże, proszę... Jezu, proszę...

Ile czasu minęło, odkąd została postrzelona? Trzydzieści sekund? To bardzo długo jak na ranę postrzałową w brzuch. To całe życie.

Nie bez powodu rany postrzałowe w tym miejscu są znacznie groźniejsze niż rany kłute. Ostrze uszkadza tylko niewielki, ograniczony obszar, a kula wędruje po jamie brzusznej, niszcząc wszystko, co napotka na swej drodze. Jeśli nóż nie trafi w tętnicę lub jelita, jeśli dość szybko znajdziesz się pod opieką chirurga oraz anestezjologa i jeśli unikniesz zakażenia – choć większość złoczyńców nie jest na tyle zapobiegliwa, by sterylizować nóż przed zadaniem ciosu – masz spore szanse na przeżycie.

Jednak skutki postrzału w brzuch są katastrofalne. W ciągu tej jednej fatalnej mikrosekundy kule mogą zniszczyć liczne organy. Jelita, wątrobę, śledzionę i – co najgorsze – tętnicę główną, od której odchodzą wszystkie inne arterie. Jeśli tętnica zostanie rozerwana, szybko wykrwawisz się na śmierć.

Musisz mieć pecha, by umrzeć od rany kłutej w brzuch.

Zwykle trafiasz do szpitala, a potem wracasz do rodziny. Trafiony w brzuch kulą, prawdopodobnie już nigdy nie zobaczysz swoich najbliższych, bez względu na to, czy zazwyczaj dopisuje ci szczęście.

Pchnięty nożem w brzuch wzywasz pomocy.

Postrzelony w brzuch wzywasz Boga.

Usłyszałem kolejne stłumione przekleństwo, a w następnej sekundzie Whitestone wyskoczyła zza radiowozu i ruszyła w stronę rannej policjantki. Biegła zgięta niemal wpół, w swetrze z reniferem, przytrzymując spadające okulary na nosie.

Wziąłem głęboki oddech i pobiegłem jej śladem, pochylając nisko głowę, przekonany, że lada moment może paść drugi strzał.

Przykucnęliśmy obok rannej, Whitestone przyłożyła dłonie do brzucha policjantki i uciskała mocno, próbując zatamować krwawienie.

Usiłowałem przypomnieć sobie pięć najważniejszych elementów przy udzielaniu pomocy w przypadku rany postrzałowej. Sprawdzić drogi oddechowe, oddychanie, krążenie, sprawność ruchową – czy ranny nie został trafiony w kręgosłup lub szyję – poszukać rany wylotowej i upewnić się, że nie ma innych obrażeń.

– Zostań z nami, kochanie – mówiła Whitestone łagodnym, czułym tonem, niczym matka do dziecka. Wciąż naciskała mocno na ranę, jej dłonie były już pokryte krwią.

Policjantka była bardzo młoda. Pewnie jak wielu jej rówieśników przysłała do policji z głową nabitą ideałami, by zmieniać świat na lepsze.

Miała bladą jak ściana twarz i szeroko otwarte zszokowane oczy. Zauważyłem, że nosi na palcu serdecznym wąską obrączkę.

Umarła, wypuszczając głośno powietrze, z jej ust wypłynęła

ostatnia bańka krwi. Widziałem, że oczy Whitestone są pełne łez, a usta zaciskają się w grymasie wściekłości.

Spojrzelismy w górę, na balkon.

Stał tam mężczyzna.

Mężczyzna, który w pierwszy dzień nowego roku nagle postanowił zabić całą swoją rodzinę. Taką informację przekazano na 999. Tak wyglądał jego plan. Takie właśnie rzeczy słyszał przez ścianę jego sąsiad, nim sam zebrał swoją rodzinę i uciekł.

Mężczyzna na balkonie trzymał w ręce karabin, a właściwie jakiś czarny sztucer z celownikiem optycznym wyposażonym w laser. Zielony promień przypominał barwę miecz świetlny Luke'a Skywalker. Wyglądał jak zabawka. Ale nie był zabawką. Widziałem, jak zielona plamka przesuwają się po ziemi – po trawniku przed blokiem, po asfaltowej drodze – i zatrzymuje przy nas.

Nie ruszaliśmy się. Wszystko znieruchomiło. Zielona plamka zatrzymała się na mnie, potem na Whitestone. Jakby nie mogła się zdecydować, które z nas woli.

– Już po niej, Pat – powiedziałem.

– Wiem – odparła Whitestone.

Spojrzała za siebie, na radiowozy z błyszczącymi napisami, na niebiesko-żółte ARV-y i zielono-żółte RRV-y. Między samochodami lśniły metalicznie glocki, karabinki Heckler & Koch, hełmy i spocone, pełne napięcia twarze.

Whitestone coś do nich krzyczała. Zielona plamka lasera krążyła przez moment po reniferze na jej swetrze i zatrzymała się tam na dobre.

– Ściągnijcie go! – rozkazała.

Później usłyszałem ich głosy.

– Mam go na muszce! – krzyknął ktoś.

Ale nikt nie strzelił.

Pomyślałem o całym tym biurokratycznym zawracaniu głowy, z jakim wiąże się każde użycie broni. Automatyczne zawieszenie w czynnościach służbowych, potem analiza każdego strzału, niekończące się pytania i podejrzenia. Perspektywa aresztu i bezrobocia. Nic dziwnego, że bali się strzelać.

Ale to nie dlatego wstrzymywali ogień.

Kiedy ponownie podniosłem wzrok na balkon, mężczyzna nie był już sam. Towarzyszyła mu kobieta. Miała na głowie chustę, choć z tej odległości nie byłem w stanie określić, czy to tylko ozdoba czy część stroju zgodnego z wymogami religii.

Wyzywał ją. Obrzucał ją wszelkimi wyzwiskami, jakimi tego rodzaju mężczyźni nazywają kobiety. Potem odepchnął ją do tyłu i podniósł coś z podłogi. Trzymał to za kark. Potrząsał tym.

Dziecko, najwyżej dwuletnie. Widziałem pucołowatą buzię, jaką zwykle mają maluchy w tym wieku. Dzieciak wił się jak torturowane zwierzę, gdy mężczyzna wystawił go za balustradę balkonu.

Na czwartym piętrze.

Na dole tylko beton.

Mężczyzna coś krzyczał. Kobieta szlochała u jego boku. Nawet na nią nie spojrzawszy, uderzył ją kolbą sztucera. Poleciała do tyłu.

Nagle dziecko runęło w dół.

Kobieta krzyknęła.

– Strzelać! – wrzasnął ktoś.

Tuż za mną rozległ się głośny huk, a z szyi mężczyzny stojącego na balkonie natychmiast trysnęła krew. Nie upadł. Cofnął się o krok i uderzył w przeszkłone drzwi, wpadając wraz z nimi do wnętrza mieszkania. Gdy zniknął mi z oczu, pomyślałem, jak bardzo wszyscy jesteśmy delikatni, jak łatwo nas zniszczyć, jak niewiele dzieli nas od śmierci.

Poderwałem się do biegu, moje buty ślizgały się na oblodzonej

trawie, z ust wyrывało się wołanie do Boga, ręce sięgały po spadające dziecko.

Ale dzieliła nas zbyt duża odległość, miałem za mało czasu, a dziecko spadało jak kamień.

2

W mięsnej hali targowej Smithfield panowała cisza.

Przeszedłem pod wielkim łukiem targowiska, drząc w chłodzie wczesnej śmierci noworocznego dnia. Minąłem szereg starych budek telefonicznych i tablicę znaczącą miejsce, gdzie zabito Williama Wallace'a. Nie minęła jeszcze czwarta po południu, a słońce już się chowało za kopułą katedry Świętego Pawła.

Wzdłuż przeciwległej pierzei placu ciągnął się rząd sklepów. Wszystkie były zamknięte, ale w mieszkaniu nad jednym z nich grała muzyka. Dźwięki fletów, skrzypiec i bębnow przeplatały się ze sobą w szalonym tempie. Piosenka opowiadała o dziewczynie, Sally MacLennane. Irlandzka muzyka. Radosna. Pomyślałem, że to pewnie The Pogues. Nad sklepem widniał nieco już wyblakły, wymalowany farbą napis:

MURPHY & SYN

Domowe i przemysłowe instalacje hydrauliczne i ciepłownicze
Solidnie i rzetelnie

Przeszedłem za sklep, potem wszedłem po schodach na poziom mieszkań. Kilku lokatorów wyrzuciło już choinki, ale

u Murphych wciąż świętowano. Dopiero po dłuższej chwili usłyszeli dzwonek u drzwi, zagłuszany śpiewem Shane'a MacGowana oraz krzykami dorosłych i dzieci.

Otworzyła moja pięcioletnia córka Scout. Zdyszana, zaczerwieniona i szczęśliwa. Towarzyszyła jej mała rudowłosa dziewczynka, Shavon, może o rok młodsza, jej braciszek, Damon, oraz pies, rdzaworudy cavalier king charles spaniel, zasapany i zadowolony – nasz pies, Stan, za którym chował się nieśmiało nieznany mi młody czarny kundelek na krzywych nogach.

– Nie musimy jeszcze iść, prawda? – spytała Scout na powitanie.

– A kto to? – odpowiedziałem pytaniem, spoglądając na kundelka.

– To jest Biscuit – wyjaśniła Shavon.

– Zje pan krokieta z mięsem – oznajmiła pani Murphy, wychodząc zza drzwi.

Scout pobiegła za swoją przyjaciółką, chłopczyk i dwa psy deptały im po piętach. Pani Murphy wprowadziła mnie do mieszkania, gdzie zostałem radośnie przywitany przez jej męża, Dużego Mikeya – szczupłego, eleganckiego mężczyznę o siwych włosach i starannie przystrzyżonych wąsach, który wcale nie był szczególnie duży – oraz ich syna, Małego Mikeya, czarnowłosego olbrzyma koło trzydziestki, który pod żadnym względem nie mógł nazwać siebie małym. Żona Małego Mikeya, Siobhan, trzymała na rękach niemowlaka w niebieskim ubranku. Najmniejszego Mikeya.

Choinka migotała i skrzyła się lampkami. Kirsty MacColl i Shane MacGowan opowiadali swoją bajkę o Nowym Jorku. Dostałem krokiety i piwo. Przez moment wpatrywałem się w butelkę piwa tak, jakbym nigdy dotąd nie widział czegoś podobnego.